

— Że generał potem uprzykrzy sobie, co pułkownikowi się podobało!

— I ty, ty śmiesz to powiadać, dręczycielko najmiłsza. A toż nie widzisz, że wobec ciebie niby podchorąży kadet. — Od kogo zależy decydować...

— Uch! Bo pan pułkownik tak mocno ścisnął.

— Więc o pardon łapki proszę...

— Ach, zaraz, tylko zobaczę do gości...

Bem poruszył niecierpliwie.

— Goście-gości! Co tam, niech raz moje będzie święto! I cóż z tych gości! — Właśnie postanowiłem sobie jasno rzecz...

— W tej chwili, w tej chwili! — Byle wydam reszty...

Pani Honorata jednym zwinem poruszeniem wysłizgnęła rączki z ujęcia dłoni pułkownika i znikła znów za firanką.

Bem zachmurzył się i głowę na rękę wsparł.

Kawiarnia huczała tuż, rozbrzmiewała zapamiętaniem okrzykami, a Bem ani nie słyszał piekielnego zgiełku, ani nie postrzegał kłębow dymu, które we wnące bałwanili się dokoła złotych, chorobliwych światełek pajaka, ani nie czuł ostrych, zatechłych wyziewów, które były weń z każdego kąta bezokienego alkierzyka.

Rozgorączkowane oczy pułkownika trwały na rąbku sylwetki pani Honoraty, widniejącym w perspektywie rozchylonych firanek. A trwały tak zawzięcie, że gdy sylwetka przybrała na się pełnię kształtów i kolorów, oczy pułkownika jeszcze tkwiły tam, kędy już jej dawno nie było.

Pani Honorata zaszeleściła spodniczkami, przysiadła się do Bema i zagadnęła nieśmiało.

— Pan pułkownik się gniewa?

Bem zwrócił powoli ku niej spojrzenie.

— Gniewa się?... Nie-nie! Prawda? Ach, bo panowie nie wystawiają sobie, ile to kłopotu, ile trudu, ile utrapienia rozmaitego! Samo nie idzie. Ciągłe coś nie jedno, to drugie. Właśnie ten posesor — dziewczyna powiada — że obywatel miał pięć lampek gdańskiej, a on mówi cztery! Głowę bym dała, że Kasia dobrze policzyła. Ale cóż. Z tym nie ma rady. I jeszcze powiada, że u Kościółowskiej taniej! Pan pułkownik mniema, że mi życie po różach się układa z kawiarnią, że nie wołałabym rozmawiać się spokojnie — albo siedzieć sobie teraz gdzie w Saskim Ogrodzie! Pan pułkownik doprawdy niesprawiedliwie. Gdybym mogła, ach, gdybym mogła, dziś jeszcze rzuciłabym wszystko!

— Gdybyś chciała! — poprawił głucho Bem.

— Nie, nie, gdybym chciała! Nie za własne kawiarnię wzięłam — więc nie wolno mi zmarnować cudzego, nie wolno z torbami puścić wuja Olechowskiego. Więc trzeba kupca, a o niego trudno. Za byle co niepodobna! — Ach, żebym miała tak, jak nie mam...

— Pomówmy rozsądnie.

— Radam wielce! — Jeszcze malagi. Dziś, Bogu dzięki, nieco więcej gości — lecz co będzie jutro. A tu Fukier z Dobryczem spokoju mi nie dają, kawa znów zdrożała... A tu nikogo, nikogo! Pan pułkownik łaskaw, tak, ale cóż, przecież rozumiem, nawet nie przystoi panu pułkownikowi...

— Wiesz dobrze, iż nic sobie z ludzkich jeźdźców nie robię.

— Tak się to mówi, a zawsze kawiarka kawiarką! Mam powiedzieć prawdę, gdy się dowiedziałam, że pan pułkownik tak się dystygował, to aż mnie żółć! Prawdziwie!... Już nawet myślałam, że nie bez kozery bateria konna przepada bez wieści. Ach, ile się nadreżyłam, ile nabeczałam...

Bem zwawiej się poruszył.

— I bez przyczyny, bez powodu! — Daj mi mówić. Przybyłem tu nie tylko dla widzenia, dla ucieśnienia się, dla przywitania — lecz i dla wyłożenia ci nowych zamiarów! Mój awans na pułkownika...

— Niestychany...

— Był mi obojętnym dotąd, dopoki nie wspomniałem na ciebie.

— Trzy i pół dukata więcej miesięcznie.

— Nie w tem rzecz. — Pomnisz list mój ze Lwowa...

— Jakżeby nie! — odrzekła pani Honorata, poglądając niespokojnie w stronę kawiarni. — Mam go w szkatułce...

— A ja słowa jego w sercu noszę...

— Jaki pan pułkownik dobry, jaki zacny!

— Nie tytułuj-że mnie pułkownikiem!

— Żebym śmiała!... Proszę wybaczyć, jeno do Rózi muszę...

Pani Honorata podniosła się, lecz pułkownik przytrzymał ją za rękę.

— Pozwól — dokończę...

— Wrócę natychmiast.

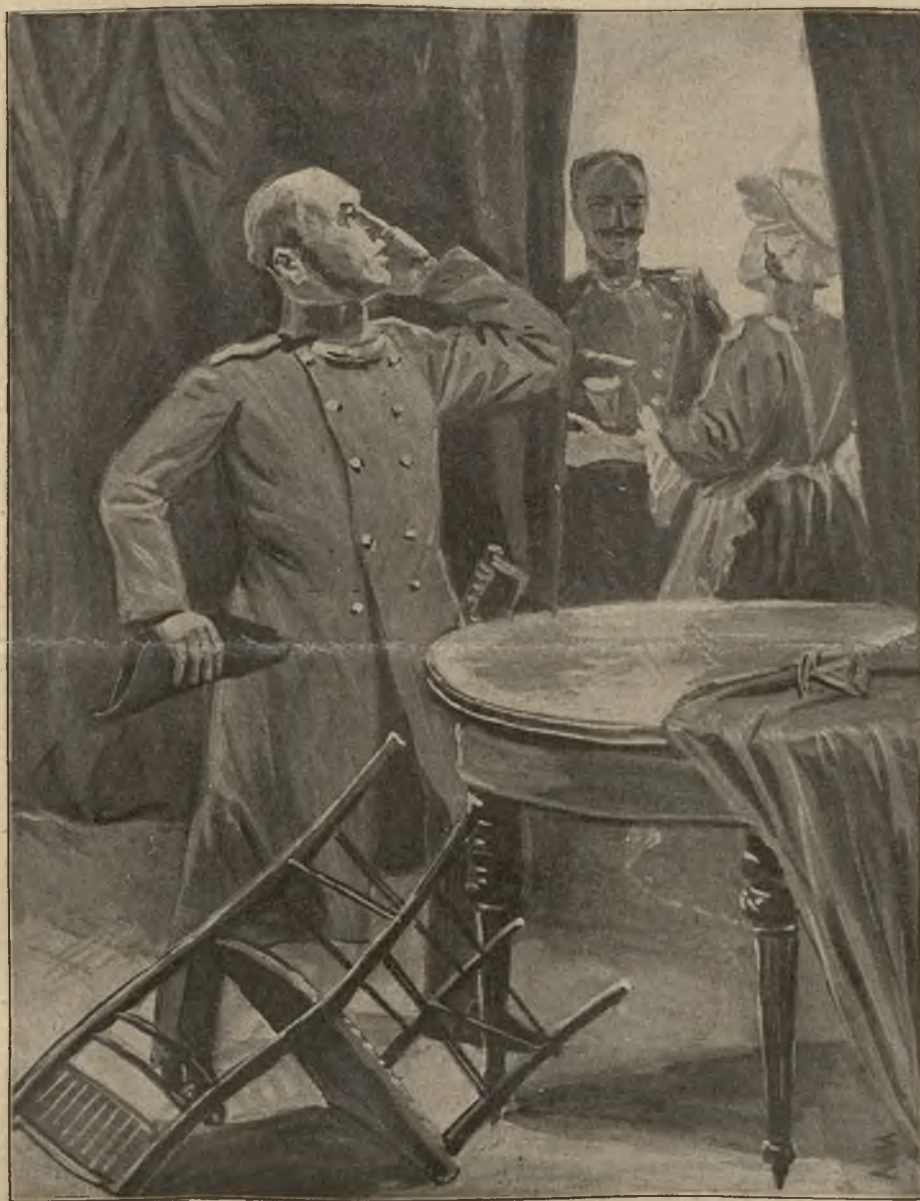
— Dwa słowa.

Pani Honorata uległa, wystraszona stanowczością pułkownika.

— Nie bierz za złe — rzekł po pauzie Bem — lecz postanowiłem sobie jasno sprawę przedłożyć, wyjść z nieznośnego labiryntu półsłówek i zapytać ci się wprost...

— Proszę pani, pan radca Filiański — rozległ się śpiewny głosik Rózi.

Bem targnął się.



...odepchnął stół i ją mierzyć niespokojnymi krokami wąski przestwór.

— Niech czeka...

— Niepodobna.

— Pan radca w pilnej sprawie...

Pani Honorata poderwała się, rzuciła pułkownikowi błagalne spojrzenie i wybiegła za Rózią z alkierzyka.

Pułkownik znów sam został. Lecz tym razem śnać rady nie mógł sobie dać z natłokiem myśli, bo szarpnął się gniewnie, odepchnął stół i ją mierzyć niespokojnymi krokami wąski przestwór.

Pani Honorata nie wracała. Pułkownik zatrzymał się raptownie przed rozchyleniem firanki, spojrzał pytająco w głąb kawiarni i rozśmiał się cierpko do samego siebie...

O kilka kroków, przy ustronnym stoliku, pod filarem arkady, powabna główka pani Honoraty chyliła się bezwładnie ku srebrnym naramiennikom wytwornego porucznika gwardyi narodowej.

Bem pohamował śmiech.

— Wzburzenie go prze — toć cóż zdrożnego. Taki jej los, taki zawód. Aliści, musi być uprzejma, musi nieraz przyjąć zaproszenie! Choćby pragnęła, niema prawa. Faramuski! Wyrwać ją należy do innego życia, innego otoczenia dźwignąć! Tu inaczej niepodobna... niepodobna...

I pułkownik bronił przed sobą samym pani Ho-

noraty i tłumaczył, że ani grająca kolorami jej twarzy, ani zalotne uśmiechy, ani ożywienia, z jakim wiodła z porucznikiem rozmowę, niczego zgola nie dowodzą. Lecz pułkownik bronił panią Honoratę coraz słabiej, coraz niezręcznie, bo oto tam, pod filarem, promień kruczych włósów zawiązał już znajomość z falistą wijącą się czupryną gwardzysty, bo oto opiekę paluszki spoczęły już z poddaniem w dłoniach porucznika.

Bemowi krew uderzyła do głowy. Wszystkie tętna zakolały w nim wołaniem, aby się rzucił między nich, aby precz odtrącił śmiałką, aby od niewiernej tłumaczenia zażądał.

I pułkownik zgarbił się, pochylił, jak ryś do skoku, lecz naraz oczy mu zmętniały, osunął się na ławę bezwładny, przygnębiony. Aż w głębi piersi chrobot głuchy, szyderczy zaskrzeczał mu i kątami szarpnął.

— Na śmieszność, na poniżenie własne, na mękę dobrowolną znów tu przyszedł i przyszedł z sentymentami, z głupstwem czułości! Prawda, deklarować chciał sakrament i pułkownicze epe-

lety! I komu - komu?! Wstyd jeden, hańba, zakostwo, dzieciństwo, lekko-myślność! — Pułkownicą będę i pułkownicą brzydota! Chciałby taką zawojować, której albo lali trzeba albo woru złota, a która, mając jedną, gonić będzie zawsze i za drugim! — A on tu, za szynkwasem kawiarnianym, w norze, za firanką wysiaduje, niby gołowąs. Mundur poniewiera dla doczekania się jednego z tysiąca uśmiechów, rozdawanych tu na wianek do każdej szklanki ponczu! Głupstwo, głupstwo, urojenie, przywidzenie! Wyżenąć trza te zapaty i potargać sieci, w które wikła i siebie i swoją godność i swoją przyszość i w chwili, gdy zbrodnią jest samolubnym oddawać się myślom, w chwili gdy on sam dla opieszałości, bez zynności innych tak surowym jest sędzią...

Powinien odejść stąd, odejść natychmiast i nie wrócić nigdy, nigdy tu nie wrócić...

Bem porwał za furazerkę, przypasał szpadę i rzuciwszy pieniąż na stół, wybiegł z alkierza i nie poglądając ku stolikowi za filarem, wysforował się na środek izby ku wyjściu.

Tu atoli śmiertelna głusza, która raptem zaległa kawiarnię zmieszala pułkownika.

Bem postąpił niepewnie naprzód. Mur stłoczonych głów zagroził mu przejście a równocześnie ponad głowami jakiś głos przeraźliwy wrzasnął:

— Obywatele!

Pułkownik, rad nie rad, przystanął.

Tymczasem mówca przygodny, po wyrzuceniu pierwszego zawołania, jął prawić o rewolucji francuskiej o dziejach konwentu, o Dantonie, o Robespierre, o Mirabeau, o równości stanów, o knowaniach szlachty, o tem,

kto wogóle zgubą jest ojczyzna — aż od przesłanek, od historycznych wspomnień, zaczął staczać się do dziejów ostatnich miesięcy, ostatnich dni.

Bem słuchał z początku obojętnie burzliwej mowy, ledwie bacząc na jej treść, lecz gdy już nie tylko Rząd narodowy z senatem i sejmem ciągi brał, lecz i armii epitetu dosadne się dostały — pułkownika dojęło. Ale i nie jego tylko, bo ze wszech stron kawiarni rozległy się okrzyki protestu.

— Wojska nie tykać! — Wara od wojska! — Milczeć!

Mówca atoli nie dał się zbić z tropu. Dźwignął hardo głowę i rozśmiał się wyzywająco.

— Cha-cha! Bronicie armii! O którejże myślicie? Czy o tej, którą pędzą bez celu, ładu i planu, którą demoralizują, która daremnie biega, by ją prowadzono na boje, czy o tej, która knowania prowadzi z nieprzyjacielem, która czyni wszystko, aby nas sprzedać, aby nas zgniebić, aby spiskować, aby wytrącić pierwszej oręż z ręki! Ja, obywatelo, o tej drugiej mówię! I na tą, wołam do was o pomstę! O pomstę na szpiegów, na sprzedawczyków, na panków, na szlachtę, na łotrów!...

(Ciąg dalszy nastąpi).